

Recepta na sukces

Tuż po studiach praktykowała jako reżyser w Warszawie, Nowej Hucie, Poznaniu. Ale swój pierwszy wielki sukces osiągnęła IZABELLA CYWIŃSKA w Kaliszu, gdzie podczas trzyletniej działalności w Państwowym Teatrze im. Bogusławskiego wystawiła kilkanaście głośnych przedstawień, gdzie udało jej się stworzyć ośrodek teatralny uznany zarówno przez widzów jak i krytyków — za jeden z ciekawszych w kraju.

● Posiada Pani chyba receptę na sukces. Bo pracując od dwóch sezonów w Teatrze Nowym w Poznaniu — znów odnosi Pani zwycięstwo za zwycięstwem. Znów ma Pani teatr niesłyszalnie popularny, ceniony w środowisku i non stop pełną widownię.

— Recepta na sukces? Bo ja wiem! Uważam, że dobry teatr można robić wszędzie. Byle znalazła się grupa ludzi „zarażonych” wspólną ideą artystyczną, tak samo rozumiejąca teatr i takie same stawiająca przed nim cele.

● Jaką więc Wy macie ideę?

— Mówiąc najkrócej — chcemy robić teatr dla ludzi myślących, zaangażowanych w sprawy współczesnego świata. Chcemy z nimi dyskutować o problemach egzystencjalnych, społecznych, politycznych, moralnych. Nastawiamy się na widza wrażliwego, a więc na swoistą elitę, ale z zastrzeżeniem, że miarą tej elitarności jest nie cenzus społeczny czy naukowy, nie wiek, lecz właśnie wrażliwość. Uważamy, że jeśli nasz widz umie myśleć i czuć — znajdzie z nami tę najgłębszą nie porozumienia, którą tak bardzo sobie cenimy.

● Przy pomocy swoich przedstawień prowadzicie więc swoisty dyskurs z widzami, coś w nich pragniecie poruszyć. I robicie to przy pomocy bardzo różnej dramaturgii...

— Tak. Bo nie tytuły sztuk są tu ważne, ale sposób podania ich zawartości, eksponowanie pewnych wątków, pewnej problematyki.

● Jeśli jednak prześledzić dokładnie tytuły wystawianych u Was sztuk, okaże się, że interesuje Panią chyba przede wszystkim dramaturgia pokazująca człowieka od jego gorszej strony (myślę tu o sztukach Zapolskiej, Suchowoko-Kobylińska, Geneta, Gorkiego...).

— Tak. Bo fascynuje mnie dramaturgia drapieżna, odsłaniająca to co w człowieku podłe i złe. Pokazuję to, by ludźmi wstrząsnąć. Jest to więc chyba i swoista dydaktyka, niejako dydaktyka na opak. Bo dydaktyki wprost w teatrze nie znoszę!

● Powiedziała Pani, że nie interesuje jej widz bierny, ale zaangażowany. Takiego widza trzeba też sobie chyba i wychowywać?

— Oczywiście. Dlatego tak dużą wagę przywiązuję np. do pracy z młodzieżą. Prowadziliśmy ją już w Kaliszu, prowadzimy i teraz. Przy Teatrze Nowym w Poznaniu pracuje Klub „Proscenium” kierowany przez Milana Kwiatkowskiego, w którym młodzież uczy się właśnie lepszego poznawania teatru, uczy się „czytania” tej bardzo przecież trudnej i złożonej sztuki.

● Pani teatralne sukcesy to zarówno przedstawienia, jak i atmosfera wokół teatru, umiejętność tworzenia z kierowanej przez siebie placówki niejako centrum życia kulturalnego.

— Rzeczywiście przykładam do tego wielką wagę, bo to chyba ogromnie istotne. W Teatrze Nowym w Poznaniu mamy np. galerię malarstwa, gdzie bywają stale malarze, muzycy, aktorzy. Naszą ambicją jest, by Teatr Nowy skupił całe młode



środowisko twórcze Poznania, by je niejako integrował.

● Swój drugi sezon w Poznaniu kończy Pani premierą sztuki Witkacego — „Oni”. Jest to chyba pierwszy Witkacy w Pani repertuarze?

— Tak. A sięgnęłam po niego, bo wydaje mi się, że w tej właśnie sztuce jest ogromnie dużo materiału do dalszego poznania prawdy o motywach działania człowieka.

● A co będzie po Witkacym?

— Urlop i wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Zaproszona zostałam do Nowego Jorku, gdzie w Teatrze „Slavic-Center” reżyserować będę „Śmierć Tarełkina” Suchowoko-Kobylińska, a następnie — jako stypendystka Departamentu Stanu USA — przez sześć tygodni poznawać będę amerykańskie teatry.

● Serdecznie gratulujemy, bo to przecież wielkie wyróżnienie, i prosimy o szczegóły. Jak doszło do tego zaproszenia?

— Po prostu właściciel Teatru „Slavic-Center” — człowiek zafascynowany kulturą i teatrem polskim — widział moje przedstawienie „Na dnie” Gorkiego, spodobało mu się i zaproponował mi, bym wyreżyserowała coś w jego teatrze. Powinnam może wybrać do zagrania w Nowym Jorku którąś ze sztuk polskich, ale sztuki, które robiłam dotychczas, są w Stanach znane, na opracowanie zaś nowej nie mogłam sobie — ze względu na bardzo krótki tam okres prób — pozwolić. Wybrałam więc „Śmierć Tarełkina” — moją ukochaną sztukę rosyjską, jednego z najwybitniejszych — moim zdaniem — dramaturgów XIX wieku. Będę ją robić z zespołem amerykańskim, ale z Januszem Michałowskim w głównej roli i w scenografii Andrzeja Sadowskiego.

● Czy można wiedzieć, czego się Pani spodziewa po tym wyjeździe do USA?

— Przede wszystkim wielkiej, wspaniałej przygody, po przeżyciu której będę wszakże bardzo spieszyc do kraju, by zabrać się do reżyserii ogromnie interesującej sztuki Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz — „Wijuny”. Jest to debiut nagrodzony na konkursie warszawskiego Teatru Ateneum w roku 1974, sztuka o tematyce wiejskiej, o tym jak to rzeczywistość przenika się w naszym życiu z nierzeczywistością, jak człowiekiem rządzi strach — w ludowej obrzędowości zresztą spersonifikowany.

Gorąco zapraszam w nowym sezonie na premierę tej sztuki do Poznania przedstawicieli „Dziennika Ludowego”. Z redakcją Waszą czuję się zresztą szczególnie związana, w niej bowiem przed laty, zanim zdecydowałam się jeszcze na zawód reżysera, debiutowałam jako dziennikarka, zamieszczając cykl artykułów o ludowej obrzędowości.

● Serdecznie dziękujemy za nasze prośenie. Życzymy wielu sukcesów w Ameryce i... do zobaczenia w kraju.

Rozmawiała

Halina
Przedborska